

ANDRZEJ TARCZYŃSKI

Wyższa Szkoła Pedagogiczna

w Bydgoszczy

AFRYKA – TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ

Dziś kraje Czarnej Afryki – poza nielicznymi wyjątkami – mają za sobą już trzy dekady niepodległego bytu. Jak ten czas został wykorzystany? Co pozostało dziś z ambitnych zamierzeń przywódców afrykańskich, którzy doprowadzili swe kraje do niepodległości u progu lat sześćdziesiątych?

Wówczas, trzydzieści lat temu, Europa przyglądała się tworzeniu nowego świata trochę z niedowierzaniem, trochę z nadzieją i życzliwością. rzeczywiste określenie „narodziny nowego świata” nie było wówczas nieuzasadnioną przesadą czy emfatycznym zwrotem – oto na kontynencie, dotychczas postrzeganym jako prawie wyłącznie kolonialny, powstało kilkadziesiąt niepodległych państw, które stanowią najliczniejszą grupę członków ONZ. W 1963 roku powstaje Organizacja Jedności Afrykańskiej, na której forum rozbrzmiewają wówczas hasła „jedności panafrykańskiej” czy „Stanów Zjednoczonych Afryki” i doprawdy nie wiadomo czy ta, na pierwszy rzut oka, utopijna idea nie przybierze realnych kształtów.

Problematyka ta budziła przed laty żywe zainteresowanie i u nas, a dla socjologii polskiej „odkrył” ją w pierwszym rządzie Józef Chałasiński, który wraz z żoną Krystyną opublikował w 1965 roku książkę pt. *Blizej Afryki*. Była

to na dobrą sprawę pierwsza w Polsce gruntowna socjologiczna analiza procesów narodotwórczych we współczesnej Afryce, jej emancypacji kulturalnej i politycznej. W późniejszych latach profesor Chałasiński kierował Pracownią Zagadnień Społecznych i Kulturalnych Afryki Współczesnej PAN.

Z kart wspomnianego dzieła Chałasińskich przebija życzliwe zainteresowanie i pełna sympatii nadzieja w stosunku do emancypujących się społeczeństw afrykańskich. Tak na ogół wówczas myślano, wówczas – w latach „eksplozji niepodległości” w Afryce. A cóż dziś można by powiedzieć na ten temat w formie komentarza do tej znakomitej wówczas książki? Jak ostatnie trzydziestolecie zweryfikowało ówczesne sądy, odczucia, nadzieje?

Już czas, w którym ukazała się książka Chałasińskich (druga połowa 1965 roku), zapowiadał brzemienne w skutki zmiany w Afryce. Nastąpiła bowiem pierwsza fala zamachów stanu (wojskowych i cywilnych), która usunęła ze stanowisk znaczną część pierwszej generacji przywódców afrykańskich, tj. tych, którzy stali na czele swych państw w chwili proklamowania niepodległości. Oczywiście zamachy zdarzały się już wcześniej – pierwszy w styczniu 1963 roku, kiedy to przed pałacem prezydenckim w Lomé został zastrzelony Sylvanus Olympio, pierwszy prezydent niepodległego Togo. Wówczas jednak były to sytuacje wyjątkowe. Stąd też w maju 1963 roku na konferencji założycielskiej OJA w Addis Abebie, delegacja Togo znalazła się w zupełnej izolacji. Po upływie kilku lat, zamachy stanu staną się w Afryce tak częste, że światowej opinii publicznej wydadzą się niemal stanem naturalnym. Za cezurę można tu uznać rok 1966 – rok udanych zamachów stanu w Republice Środkowoafrykańskiej, Górnej Wolcie, Ghanie, Ugandzie oraz dwukrotnie w Nigerii i Burundi.

Od tego czasu światowa opinia publiczna otrzymywała doniesienia z Afryki, które albo dotyczyły kolejnych zamachów stanu, albo klęsk żywiołowych. Czasami obie te sprawy łączyły się ze sobą: katalizatorem obalenia cesarstwa w Etiopii była klęska suszy i głodu (wówczas też, tj. odpowiednio w 1973 i 1975 r., nastąpiły zamachy w Nigrze i Czadzie, a więc w krajach położonych w tej samej strefie co Etiopia). Niemal w całej Czarnej Afryce zapanowały systemy monopartyjne i wydawało się, że na restytucję rządów parlamentarnych nie ma co liczyć. Z kolei te nieliczne kraje, w których ostał się system wielopartyjny (Botswana czy Gambia), będąc krajami małymi i nie

liczącymi się nawet w skali regionalnej, spełniały rolę wyjątku potwierdzającego regułę.

Próbowano jednak ów stan rzeczy tłumaczyć i nawet usprawiedliwiać, wskazując na przykład, iż jedna partia przejmuje funkcję, jaką w Afryce tradycyjnej pełniła rada plemienna. Tylko tyle, że rada plemienna rzeczywiście dyskutowała aż do osiągnięcia jednomyślności, podczas gdy monopartia stała się narzędziem narzucania swej woli przez ekipę rządzącą i eliminowania dyskusji z życia publicznego. Wskazywano także na niewielką przydatność wzorów demokratycznych w warunkach afrykańskich, powołując się na przykład Nigerii, gdzie wzorowany na angielskim system rządów parlamentarnych pierwszej republiki (1960-66), doprowadził do wzmożenia antagonizmów międzyplemiennych, których najtragiczniejszym wyrazem stała się krwawa wojna białafrańska (1967-70), a tzw. druga republika, oparta z kolei na wzorcach amerykańskich (1979-83), była tylko epizodem między długoletnimi rządami kolejnych ekip wojskowych.

Odrzucenie wzorów demokratycznych, trybalizm, fatalne błędy w polityce gospodarczej, klęski żywiołowe oraz ekstrawagancje i okrucieństwa niektórych afrykańskich dyktatorów (Idi Amin, Bokassa), spowodowały, iż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych obraz teraźniejszości i przyszłości krajów Czarnej Afryki był malowany w nader ciemnych barwach. Poza chlubnymi i, niestety, nielicznymi wyjątkami (Senegal, Wybrzeże Kości Słoniowej, Botswana, Zimbabwe czy Gabon), przeciętny poziom życia ludności afrykańskiej jest niższy niż u progu niepodległości na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Stoczyły się ekonomicznie nie tylko kraje będące areną licznych zamachów, kontrzamachów czy walk plemiennych, ale i te, które przynajmniej w sferze politycznej wyróżniały się pewną stabilnością (np. Zambia czy Tanzania).

Czy zatem nadzieje, prognozy i plany sprzed trzydziestu lat okazały się jeszcze jednym złudzeniem, których tak wiele przecież już było w dziedzinie organizacji ładu społecznego od początku naszego stulecia? Czyż nie widać oznak zmiany jakościowej w Afryce subsaharyjskiej? Otóż ostatnie pięciolecie przyniosło jednak wiele zmian, które nie zawsze są dostrzegane, wobec zaafektowania sprawami transformacji ustrojowej w Europie Wschodniej. Afryka ma zresztą pretensje do światowych potentatów, iż angażują się w krajach

postkomunistycznych, nie zauważając, iż kres bloku wschodniego miał także doniosłe konsekwencje dla obecnego oblicza Afryki.

Oto dzieje się rzecz niewiarygodna jeszcze kilka lat temu – w coraz liczniejszych krajach Afryki przywrócone zostają (lub nawet wprowadzone po raz pierwszy tam, gdzie ich nigdy nie było) systemy wielopartyjne. Co ciekawe, dzieje się to zarówno tam, gdzie ogłaszano niegdyś „socjalistyczną drogę rozwoju” (np. Benin, Kongo), jak i tam, gdzie zawsze istniała gospodarka rynkowa i prozachodnia orientacja w polityce zagranicznej (np. Kenia czy Gabon).

Ta transformacja przybiera jednak różne kształty. I tak wprowadzenie systemu wielopartyjnego i rozpisanie wolnych wyborów w niektórych krajach doprowadziło do utraty władzy przez dotychczasowe ekipy rządzące (nastąpiło to w Beninie, Zambii, Kongu, Nigrze i Lesotho). Gdzie indziej prezydenci utrzymali się przy władzy, ale musieli pogodzić się z istnieniem opozycji lub nawet poczynić na jej rzecz pewne ustępstwa (Kenia, Togo, Gabon, Zair, Mozambik, Ghana, Burkina Faso, Gwinea), umiejętnie przy tym manewrując na bardzo jeszcze nieustabilizowanej scenie politycznej. W Etiopii z kolei reżim marksistowski przepadł z kretesem w maju 1991 roku, a więc niespełna pół roku od zaprzestania przez Moskwę wspierania dotychczasowych sojuszników w b. Trzecim Świecie. Tanzania znów już w połowie lat osiemdziesiątych zakończyła flirt z „afrykańskim socjalizmem” budowanym przez dwie dekady z pomocą ChRL, choć zmiany ekonomiczne wyprzedziły tam znacznie przeobrażenia życia politycznego.

Oczywiście nie brak i przykładów mniej budujących. Fiaskiem zakończył się swoisty eksperyment nigeryjskiego przywódcy – gen. I. Babangidy. Kilka lat temu obiecał on przywrócenie rządów cywilnych, rozwiązując przy tym istniejące partie, jako nieprzydatne (bo wyznaczone w dużym stopniu kryteriami plemiennymi). Gdy jednak latem 1993 roku w wyborach zwyciężył chrześcijanin z Południa, Babangida – muzułmanin z Północy, unieważnił wybory i wprowadził na stanowisko prezydenta dotychczasowego premiera, który jednak trzy miesiące później ustąpił, a na arenę polityczną wkroczył nowy silny człowiek Nigerii – gen. S. Abacha. W ten sposób demokratyzacja kraju została znowu odłożona na nieokreśloną przyszłość.

Nieśmiałe próby demokratyzacji Rwandy przyniosły, jak wiadomo, największe masakry w Afryce na przestrzeni ostatnich lat. Wojny domowe

w Liberii i Somalii doprowadziły do faktycznej dezintegracji obu państw (w przypadku Somalii dochodzi jeszcze klęska głodu i zniszczenie prawie całej i tak bardzo mizernej infrastruktury). Już przeszło trzydzieści lat, z niewielkimi przerwami, toczy się wojna domowa w Sudanie, między arabską Północą a murzyńskim Południem i nic nie wskazuje na to, iżby miała się ona w najbliższym czasie zakończyć.

W niektórych krajach położono wprawdzie kres długoletnim wojnom domowym (np. Czad czy Mozambik), ale uzyskano, jak na razie, bardzo kruchą równowagę. Istnieje tu, niestety, realna groźba powtórzenia się scenariusza z Angoli, gdzie po półtorarocznej przerwie i przeprowadzeniu wyborów, wojna domowa rozgorzała na nowo, a kolejne ugody i porozumienia pozostawały martwą literą. Wreszcie mamy dziś w Afryce grupę krajów (Mali, Uganda czy Gwinea Równikowa, które z mozołem próbują odrobić to, co zostało stracone w okresie bezwzględnych dyktatur. Charakterystyczny jest tu casus Ugandy, niegdyś korzystnie wyróżniająca się spośród innych terytoriów afrykańskich i nazwanej niegdyś przez W. Churchilla „perłą Afryki”, która po okresie tyle paranoicznej co krwawej dyktatury Idi Amina w latach siedemdziesiątych i po wojnie domowej w następnej dekadzie, zesłała do pozycji jednego z najbiedniejszych krajów Afryki, a dziś powoli przewycięża bolesne dziedzictwo przeszłości.

Czy więc dziś, trzydzieści lat po fali niepodległościowego entuzjazmu, którego jednym z przejawów były u nas wspomniana książka Chałasińskich, Afryka zaczyna wkraczać w nowy etap swych dziejów? Z jednej strony wspomniane poprzednio tendencje mogą skłaniać do wysnuwania takich supozycji, choć z drugiej strony nie sposób nie zauważyć bardzo poważnych przeszkód i źródeł zagrożenia. I nie chodzi tu już nawet o zawsze możliwy regres kwestionujący dotychczasowe, skromne zdobycze, np. ostatni zamach stanu w Nigrze). Niektórzy mówią wprost o kryzysie państwa postkolonialnego, stawiającym pod znakiem zapytania zasady dekolonizacji realizowane w poprzednich dziesięcioleciach.

Otóż w roku 1960 (uznanym później „Rokiem Afryki” – to nieprzypadkowa zbieżność) ONZ przyjęła za wiążącą deklarację „O przyznawaniu niepodległości krajom i ludom kolonialnym”, w której uznano za niedopuszczalne dekolonizowanie jakiegokolwiek obszaru, które godziłoby w jego integralność

terytorialną. Analogiczny zapis posiadała przyjęta nieco później Karta Afryki, gdzie przy całej świadomości sztuczności granic politycznych w Afryce uznano ich poszanowanie za mniejsze zło wobec niemożności znalezienia innego, doskonalszego kryterium delimitacji terytoriów niepodległych państw afrykańskich. Wówczas zdecydowanie tłumiono wszelkie próby secesji (Katanga, Biafra), a ewentualne próby „wyprostowania granic” mobilizowały przeciwko ich inicjatorom całą Afrykę (zauważmy, że Idi Amin nie został obalony z powodu swych licznych okrucieństw, ale dlatego, iż uwikłał się w konflikt terytorialny z sąsiednim państwem).

Dziś sytuacja jest już inna, na co złożyło się wiele przyczyn różnej zresztą natury. Wskazuje się np. na znaczenie precedensu, jakim było w 1993 roku powstanie i międzynarodowe uznanie niepodległej Erytrei przy zgodzie na ten fakt samej Etiopii. Osobiście nie przeceniałbym tego faktu – ostatecznie Erytrea stanowiła w dobie kolonialnej osobne terytorium, a jej późniejsza inkorporacja do Etiopii bywa nawet przez niektórych autorów nazywana „imperializmem afrykańskim” (oczywiście przy zachowaniu wszelkich propozycji – stąd cudzysłów). Większe znaczenie ma, moim zdaniem, strukturalny kryzys takich państw jak Zair, Nigeria, czy Sudan. Dziś już nikt z zewnątrz nie będzie czynił wysiłków w celu utrzymania integralności terytorialnej tych państw, a wyłonienie się nowych organizmów politycznych (zwłaszcza w przypadku sudańskiego Południa) jest zupełnie prawdopodobne.

Niestety, rośnie też dystans między samą Afryką a resztą świata i to nie zawsze z winy samych Afrykanów. Bogata Północ nie chce lub nie umie działać na rzecz zmniejszenia tego dystansu. Światowi potentaci albo angażują się w problemy afrykańskie, aby po raz kolejny wygrywać własne interesy, jak to w sposób cyniczny i nietaktowny czyni Francja (budząc przy tym silną niechęć samych Afrykanów), albo też nie czują się zdolni ani gotowi do podjęcia tego wysiłku. Stany Zjednoczone uciekają w izolacjonizm, paradoksalnie także i dziś, gdy stały się jedynym mocarstwem globalnym.

Z drugiej strony faktem jest też degeneracja elit afrykańskich. „Ojcowie niepodległości” sprzed trzydziestu lat byli niejednokrotnie wybitnymi indywidualnościami – ponieśli jednak klęskę będąc idealistami, podczas gdy rzeczywistość tamtych czasów nieraz czyniła ich wraz z całym krajami, którym przewodzili, przedmiotem rozgrywki dwóch antagonistycznych blo-

ków (vide casus Lumumby). Elity dzisiejsze często pozbawione są jakiegokolwiek wizji, rozkwita zaś klientelizm wobec zamorskich patronów.

Afryka już rozpoczęła czwartą dekadę niepodległości, ale czy zdoła uniknąć zmarginalizowania w świecie, który chce wierzyć w powszechność pewnych standardów, nie rozumiejąc nieraz barier, jakie stoją na drodze do ich osiągnięcia? Dzisiejsza sytuacja Afryki jest bez wątpienia trudna, być może nawet trudniejsza niż u zarania niepodległości. Nie można wszak wykluczyć, iż będzie punktem wyjścia do nowej syntezy, choć to droga bez wątpienia daleka i ciernista.